Numer zawiera 4 strony

Cena numeru 15 gr.

Treść numeru:

X muza

tygodnik ilustrowany

Treść numeru:

ROK I — WARSZAWA, DNIA 7 MARCA 1937 R. — Nr. 2

FILM ◦ TEATR ◦ MUZYKA ◦ TANIEC ◦ RADIO ◦ MALARSTWO ◦ FOTOGRAFIA ◦ SPORT ◦ TURYSTYKA ◦ MODA ◦ KOSMETYKA ◦ ROZRYWKI

ANATOL STERN

ZABAWA W CHOWANEGO

Proszono mnie o objęcie działu sprawozdań w „X Muzie". I o poprzedzenie ich paroma słowami wstępu.

Słowem, chodzi tu o moją teatralną wypowiedź ideową.

Nieraz już dawałem jej wyraz. I nieraz już mówiłem, co sądzę o obecnym stanie teatru w Polsce.

Zachwycałem się naszymi reżyserami, naszymi aktorami, nawet dyrektorami naszych teatrów z uroczą panią Marją Malicką na czele. Jedno tylko nigdy nie budziło mego zachwytu. To, że Polska jest zagraniczną kolonją teatralną.

Można bowiem nazwać nasz teatr, teatrem francuskim, teatrem angielskim, teatrem italskim, udostępnionym widzowi dzięki mniej lub więcej dobrym przekładom. Nie można jednak nazwać tego teatru— teatrem polskim.

Upływają tygodnie, miesiące, lata niemal całe, gdy nie ogląda się sztuki polskiej na naszych scenach. Oklaskujemy Pagnolów, podziwiamy Achardów, jesteśmy obecni na prapremierach Shawów, niema nas tylko na sztukach naszych własnych autorów. Bo niema tych sztuk.

Od czasu do czasu, bardzo rzadko, wskrzesza się Wyspiańskiego, Żeromskiego, Nowaczyńskiego (tego z przed 25 lat). Na tem kończy się kult dla polskiego autora. Przepraszam!... Jest jeszcze pani Maria Pawlikowska, grana we wszystkich odmianach na wszystkich scenach polskich. Są dramaty p. Pawlikowskiej, komedie p. Pawlikowskiej, misterja i groteski p. Pawlikowskiej. I jeśli jakiś przyszły historyk teatru zechce pisać historję właśnie obecnego dziesięciolecia sceny polskiej, to właściwie będzie to studium o p. Pawlikowskiej. I historyk ów zdziwi się niepomiernie, dlaczego ta czarująca poetka, jedna z najlepszych, jakie mamy, nie pisała wierszy, tylko sztuki. I zdziwi się, dlaczego te sztuki, będące przeważnie zmodernizowaną zapolszczyzną, poruszające w sposób feljetonowy ibsenowskie zagadnienia, były jedyną strawą widza naszego teatru.

W tym miejscu Czytelnik chrząknie i powie ze zdziwieniem: „Rzeczywiście... Tylko Pawlikowska..." A potem zapyta mnie surowo: „Ale jakby Szan. Pan chciał zaradzić temu brakowi polskich sztuk w naszym teatrze?...."

Drogi Czytelniku!... Za wiele Pan odemnie wymaga. Mamy instytucję, która m. in. w tym właśnie celu powstała: Polska Akademia Literatury. Niech ona o tym pomyśli.

Urządzała już przecież nawet raz wielki konkurs dramatyczny. Cała Polska brała w nim udział. Z pośród setek sztuk nagrodzono nawet trzy. Z tych trzech wystawiono nawet jedną: sztukę p. Pawlikowskiej....

Ale może te wszystkie moje żale z powodu zaniku polskiej twórczości dramatycznej są przesadne?... Może poprostu złośliwi autorzy polscy nie dają teatrom naszym swych sztuk, sabotują naszą scenę?...

Może w tej samej chwili, gdy my jesteśmy obecni w Warszawie na prapremierze Shawa, widzowie angielscy przybywają tłumnie na prapremierę polskiego dramaturga?...

Kto wie?... Może to poprostu taka zabawa w chowanego?...

Ale mimo to, gdy siedzę w przepełnionej sali Teatru Małego wśród rozentuzjazmowanych widzów na świetnym „Lecie w Nohant" Iwaszkiewicza, jednego nie mogę w żaden sposób zrozumieć. Komu ta zabawa jest potrzebna, skoro sztuka polskiego autora budzi taki entuzjazm?... I czy ta zabawa w chowanego... dramaturga polskiego nie trwa czasem zbyt długo?!...

Bo rozumiem, nikt nie pragnie autarkji kulturalnej.... Ale chyba ma się prawo marzyć o tem, aby nasza rzeczywistość była wyrażona na scenie polskiej również i przez naszych autorów dramatycznych!...

ZBIGNIEW PITERA.

Stwórzmy film sportowy!

Z chwilą gdy film dźwiękowy zapanował wszechwładnie na ekranach całego świata, krajowa X-ta Muza zamknęła się beznadziejnie w trzech ciasnych ścianach dekoracji atelierowych, rzadko tylko wyglądając okiem swego obiektywu na szerszą przestrzeń, zdawkowo traktowaną we wstawkach plenerowych. Objaw ten szczególnie dotknął film krajowy, który nie wyposażony w odpowiednie urządzenia techniczne (dźwiękowe aparatury plenerowe), gniótł się od filmu do filmu w mniej lub więcej partackich wnętrzach. Pozbawiło go to kompletnie na dłuższy czas jakiegoś szerszego, swobodniejszego oddechu, a nade wszystko tłumiło podstawowy pierwiastek sztuki filmowej — ruch.

To też rzucając hasło stworzenia wartościowego filmu sportowego, powinniśmy mieć przede wszystkim na uwadze nadzwyczajną fotogeniczność tematów o charakterze sportowym. Jakąkolwiek bowiem dziedzinę sportu wzięlibyśmy pod uwagę zawsze odnajdziemy tam dwa zasadnicze czynniki prawdziwego kina: ruch i przestrzeń.

Pamiętacie piękny film narciarski produkcji niemieckiej p. t. „Białe szaleństwo" z doskonałą sportsmenką Leni Riefenstahl? Skąpane w śniegu i słońcu malownicze zbocza gór — a na ich srebrnym, roziskrzonym tle: szalony, niewstrzymany niczem, zapierający dech w piersi pęd młodych ciał, uskrzydlonych cudem dwuch czarodziejskich desek. I ta nieustanna pogoń — gonitwa nieokiełznanej młodości za daleką przygodą — to zdolne jest dać człowiekowi prawdziwą radość życia! A trudna szkoła i zaprawa, jaką musi przejść każdy początkujący adept „białego szaleństwa", by dostąpić nieznanych „zwykłym śmiertelnikom" rozkoszy narciarskiego raju! To był prawdziwy film — źródło niezapomnianych wrażeń dla oczu.

Albo znów „Królowa szybkości" z Wiliamem Hainesem i Madge Evans. Morze, żagle, słońce, niebo, wiatr, młodość i brawura — to właściwi aktorzy tych jedynych w swoim rodzaju filmów.

Ale nie tylko ucztą dla zmysłów winien być dobry film sportowy. Ma on na celu znacznie poważniejsze zadanie.

Na tle tych wszystkich akcesoriów o charakterze par excellence wizualnym, będących prawdziwą rozkoszą dla oczu i ekstraktem stuprocentowego kina, wystąpić musi na plan pierwszy mocno zarysowana dusza sportowca.

Być może, że dotychczas zbyt mało uwagi zwracano na ten bodaj najważniejszy czynnik wszystkich poczynań sportowych, a mianowicie: na ich moment psychiczny. Otóż właśnie uwydatnienie na ekranie rysów psychiki rzetelnego sportowca-współzawodnika, walczącego na szali triumfu lub porażki nie tylko wysiłek swych mięśni, ale również wolę zwycięstwa i moc wytrwania — otwiera dla realizatorów takiego filmu całą moc najrozmaitszych możliwości takiego, czy innego potraktowania tematu.

W tym miejscu należy wspomnieć dobry film francuski p. t. „Toboggan" z byłym mistrzem bokserskim Georgem Carpentierem — gdzie właśnie realizator położył specjalny nacisk na sferę psychicznych konfliktów, rozgrywających się w duszy boksera — jednostki zdruzgotanej fizycznie i moralnie.

To podejście do tematu sportowego, ujawniło nam całą dziedzinę dramatów i nierzadko prawdziwych tragedyj ludzi sportu — głębokich przeżyć, rozgrywających się zazwyczaj za kulisami, gdzieś na uboczu barwnego życia sportowego, które publiczność zna przeważnie tylko od strony krzyczących rekordów, nieprawdopodobnych wyczynów i zdobytych laurów.

Czyż trzeba jeszcze dodawać o wartości społecznej takiego filmu, zwłaszcza na naszym terenie?

Czy piękna idea wychowania fizycznego, kultury cielesnej i zdrowia moralnego nie powinna iść w masy widzów kinowych, rekrutujących się przeważnie z tych mas, na które sport czeka już oddawna — niestety, jak dotąd napróżno — —?

Niech naszych realizatorów nie odstrasza fakt niepowodzenia pseudo-sportowej komedyjki „100 metrów miłości", gdzie sport był właściwie tylko tłem dla płaskiego popisu Dymszy, skądinąd doskonałego komika i sportowca. Dymsza będzie niewątpliwie ozdobą filmu sportowego, gdy znajdzie się nareszcie pod takim kierownictwem reżyserskim, które zrozumie, jak przebogate możliwości aktorskie kryje w sobie ten świetny artysta.

Jeżeli zaś chodzi o dodatnie pozycje naszego filmu w tej dziedzinie — to z satysfakcją należy wskazać na fakt powstania takich krótkometrażówek, jak „Na start!" Aleksandra Forda lub „Wiosna narciarzy" Krzeptowskiego. Zwłaszcza w tym pierwszym wykorzystanie tematu sportowego pod względem walorów czysto kinowych, znalazło przynajmniej częściową realizację.

Gdyby więc hasło stworzenia filmu sportowego u nas nie przebrzmiało bez echa i weszło w stadium realizacji, nie powinno tam zabraknąć jednego z tych dwóch reżyserów, jako jedynych na naszym terenie filmowców, którzy nietylko podpatrzyli walory filmowe sportu, ale zrozumieli nawskroś istotę jego fotogeniki. W filmie „Na start", uwydatniło się to w rytmiczno-wizualnym ujęciu poszczególnych scen i w sprężystym montażu zwartych fragmentów.

Dziś, gdy wszyscy skarżą się na głód tematów, jaki rzekomo opanował światową produkcję filmową, śmiało wskazujemy na sport, jako na dziedzinę, która na filmie ma jeszcze dużo do powiedzenia.

A zatem: czekamy na dobry film sportowy!

„IRENA DUNNE"



Najznakomitsza artystka Ameryki ukaże się wkrótce w ostatnim filmie rez. Ryszarda Bolesławskiego „TEODORA ROBI KARIERĘ" fot. Columbia

LEOPOLD BRODZINSKI

Potrzeba instytutu filmowego

Gdy film dźwiękowy sprowadził do Hollywood gwiazdy z Boadway'u i na czas pewien „unieruchomił" sławy sztuki niemej, przerażone wielkości, zachwiane w pewnych dotąd podstawach swych złotodajnych karier wzięły się do pracy. Tworzono „komplety", na których dumne wczoraj, strwożone i spłoszone dziś „stars" zaczęły uczyć się dykcji, studjować impostację głosu, tajemnice dialogu i t. p. arkana zawodu aktorskiego. Po pewnym czasie odpadły te (i ci), których głosy i... inteligencja nie dały się „podciągnąć". Inni wrócili. Nie wszyscy w pełni dawnej chwały, bo taki np. ś. p. John Gilbert nie osiągnął już tych tryumfów, które w czasach filmu niemego były jego udziałem...

Dźwięk głosu i dykcja niezapomnianego bohatera „Wielkiej Parady" miały w sobie coś kontrastującego z jego fizycznym typem... Nie znalazła w sobie dość siły woli, dość hartu ducha piękna, jak cud, Billi Dove... Odeszła. Stała się t. zw. „szarą pięknością", t. j. osobą całkiem prywatną, której uroda — wyco-

dokończenie na str. 2-ej.

ciąg dalszy ze str. 1-ej

fana z giełdy piękności oficjalnych — nikogo już nie obchodzi... Możnaby przytoczyć parę dziesiątków nazwisk niegdyś głośnych, dziś — od lat sześciu czy siedmiu — zapomnianych, obojętnych...

U nas stało się trochę inaczej. Do filmu, po rewolucji dźwiękowej, przyszli aktorzy teatralni. Za czasów „niemych" narzekano na nich, na ich niekinetyczne jakoby reakcje twarzy i ciała, na technikę ich gry i t. d. A potem, gdy głosy i dykcja uroczych gwiazd i pięknych gwiazdorów okazały się naprawdę nie do przyjęcia, wezwano do pomocy ludzi teatru. Niektóre z gwiazd były w tej szczęśliwej sytuacji, że — jak Smosarska — wyszły z teatru i swą techniką głosu i mówienia uratowały swą sytuację, a nawet ugruntowały jeszcze mocniej. Inne albo znikły z horyzontu, albo też tkwią w szarzyźnie, nic nadal nie umieją i przyczyniają się do absurdalnej nierówności poziomu aktorskiego scen, w których jakaś panna Linda Pumpi „gdacze" wyuczone zdania, partnerując Junoszy, Jaraczowi, czy innemu z matadorów sztuki aktorskiej. Otóż panny Lindy Pumpi powinny wziąć się do pracy poważnej, o ile chcą nadal i muszą tkwić w życiu filmowym.

(Dokończenie nastąpi).

Z cyklu: „WIELKIE KARIERY"

MIRA ZIMIŃSKA — KRÓLOWA SCEPTYCZNEJ PIOSENKI.



W kulisach teatru w Płocku, wtulona w jakiś kąt obserwowała akcję sceniczną mała, czarnowłosa, zielonooka dziewczynka słuchała operetkowych melodii, patrzała na wzruszające przeżycia bohaterów dramatów czy komedii... Mieszkała w teatrze. W t. zw. „suterynie" teatralnej. Była naprawdę dzieckiem teatru, przez los skazanym na to, by żyć, oddychać atmosferą, przesyconą wonią szminek i pudrów, atmosferą „zakulis"...

Ta dziewczynka z Płocka, to Marysia Burzyńska. Nikomu nic nie powie ani imię, ani nazwisko, jakich wiele. Dopiero gdy uświadomimy sobie, że znakomita „diseuse", świetna satyryczka, popularna gwiazda rewii, kabaretu, dramatu i... filmu (a jakże!) Mira Zimińska była niegdyś ową Marysią, zastanowić się będziemy musieli nad fantastyczną rozpiętością między dziś a wczoraj małej płocczanki..

Początki były trudne. I trwały długo. Bo te „początki" nie skończyły się wraz z kresem prowincjonalnej tułaczki. W stolicy było jeszcze trudniej. W Mirażu przeszedł debiut skromnej, źle ubranej, zalękanej prowincjałki bez żadnego efektu. W Wodewilu na letniej scenie nikt nie entuzjazmował się „szarą aktoreczką". A i potem w Qui-pro-quo... Już błyszczały Ordonka i ś. p. Zula.. Jeszcze świeciła blaskiem modnej gwiazdy Niuta Bolska i imponowała strojami Nelly Herten. Trudno było się wybić, jeszcze trudniej ubrać... Niedostatek, zwątpienie, tysiące trosk... Słabe piosenki, marne rólki w „skeczach".. Źle było...

Ale wiara w siebie nie opuszczała „szarej aktoreczki"... I przyszedł dzień tryumfu. Była to rewia „Hallo, ciotka..." Mira stała się kimś. Warszawa zaczęła mówić o dowcipnej, niebanalnej gwiazdeczce... Wszystko odtąd poszło w tempie zawrotnym. Duża gaża, toalety, auto, powodzenie artystyczne i materialne. Ambicje rosły...

Od maleńkości marzyła Mira-Marysia o dramacie. I oto gra w Polskim „u Szyffmana" (tak się wtedy mówiło). — „Artyści", „Lekkomyślna siostra", „Pierwsza pani Frazer"... Naprzemian z sukcesami w „Qui pro quo", a potem w „Bandzie". I pierwsza wielka rola komedjowa: w Ateneum „Maliczewska", sukces pełnowartościowy... A potem znów jakiś moment załamania, przygaśnięcia... I z tego zszarzenia strzela świetny promień: piosenki „retrospektywne"... Szczyt sukcesu! Co za wyczucie stylów, co za zrozumienie epoki, jaka mądra złośliwość w spojrzeniu wstecz...

I znów sukcesy w dramacie: „Mały domek" Rittnera z Adwentowiczem i Bendą, a u Jaracza (i z Jaraczem) „Madame Sans Gene" i molierowska Antosia... Zimińska jest już nietylko modną „diseuse", ale i świetną dramatystką...

Kto wie, czy sceptycyzm, zupełnie logiczny wynik zmagań się z życiem, walk i prawdopodobnie zwątpień — nie jest najbardziej charakterystycznym elementem w twórczości Miry...

Umie ona dopatrzeć się jakichś nieuchwytnych pozornie śmiesznostek w wielu przejawach życia. Umie wykpić i odbronzować wiele zakłamań.

Ale ta „zimna" intelektualistka ma serce, i to serce złote. Przy całym krytycyźmie, przy negatywnym naogół nastawieniu do większości spraw, zdarzeń i ludzi (i... koleżanek) jest Zimińska człowiekiem o nieprzyzwoicie altruistycznym sercu... Nie jest tylko sentymentalną, egzaltowaną kabotynką. Czuje, myśli i mówi prosto, wydaje się czasami oschła. Ale to tylko pozory, kryjące serce, które rozumie każdy ból, bo samo pewno dużo przecierpiało, i każdej trosce współczuć potrafi, każdej niedoli nieść ulgę.

„Królowa sceptycznej piosenki" — to człowiek, mądry, poważny i dobry.

Elf.

BRZYDKI ZWYCZAJ

Jesteśmy w teatrze na przedstawieniu. Sztuka ciekawa, więc siedzimy wpatrzeni w aktorów i słuchamy w napięciu ich słów. Akt się kończy. Zrywa się burza fernetycznych oklasków.

Publiczność powstaje z miejsc i wychodzi do foyer, do palarni... Na ploteczki, lub na papierosika...

Rozpoczyna się przegląd tualet eleganckiej publiczności. Jakieś stłumione szepty...: pan A... pani B... Pan X opowiada pani Y zabawną anegdotę. Śmieją się oboje. Nie za głośno. Kulturalnie. Elegancko.

Wreszcie dzwonek. Elegancka publiczność powoli, z godnością zapełnia widownię, by zająć najkulturalniej w świecie swoje miejsca i do końca aktu zachowuje się mniej więcej tak, jak poprzednio.

Ale po przerwie część eleganckiej publiczności, powracając na widownię, zawadza o szatnię. Panowie obładowani męską i damską garderobą, nadmiarem kapeluszy, szalików, botów, rękawiczek siadają triumfalnie na swoich, lub nie swoich miejscach i przyduszeni bagażem modlą się żarliwie o szybki koniec sztuki.

Już przestały być ważne kwestie poruszane na scenie. Sztuka już nie jest frapująca. Ważny jest tylko bagaż i... jaknajszybszy koniec...

A gdy reszta publiczności zwącha pismo nosem i zazdrosnym okiem spostrzeże szczęśliwców, posiadających już garderobę przy sobie, poczyna się dziwnie niecierpliwić. Raz po raz zrywa się ktoś i niby to delikatnie, stąpając na palcach, a właściwie hucząc i grzmiąc niby trąba jerychońska, pędzi do szatni, jakby go tysiąc diabłów gnało...

Prawdziwa katastrofa zaczyna się dopiero w momencie opuszczenia kurtyny. Teraz nikt nie klaszcze, nikogo nie interesują kłaniający się artyści... Wszystko w jakimś niezrozumiałym popłochu prze ku wyjściu... Jeden przez drugiego, jeden na drugim... Byle prędzej, do szatni!... Po palto! Po kalosze!...

Brak tylko żeby i orkiestra opuściła swe miejsca, a najodpowiedniejszym byłby dźwięk metalicznego, opanowanego głosu kapitana: „Kobiety i dzieci naprzód"... Wszyscy się uratują!... — ażebyśmy myśleli, że to prawdziwa katastrofa okrętowa.

Znikła gdzieś kultura wytwornej publiczności teatralnej. Zastąpiło ją wstrętne, brutalne chamstwo!...

Chamstwo wobec sztuki, wobec artystów i wobec niewielkiej garstki **naprawdę kulturalnej** publiczności, która oddając okrycia do szatni, zdaje sobie sprawę, że trzeba będzie je odebrać.

A skoro można (i warto), poświęcić na obejrzenie sztuki dwie, czy trzy godziny, to warto również poczekać pięć lub dziesięć minut na palto, by nie zyskać sobie miana, niekulturalnego widza Tym bardziej, że bramy już i tak pozamykane...

A może powstawanie z miejsc przed zakończeniem spektaklu należy uznać za objaw specyficznej „kultury" naszego high-life'u?...

GEORGE.

Z POLSKIEGO ŚWIATA FILMOWEGO

Żadne względy, dotyczące zachowania tajemnicy, nie obowiązują już więcej! szczególnie, gdy dzieło jest już ukończone, a spragniona publiczność lubi wszak znać zawczasu o oczekujących ją przeżyciach.

Dzięki mimowolnej niedyskrecji naszych fachowców filmowych, udało nam się zdobyć garść szczegółów o nowym filmie polskim p. n. „Ludzie Wisły" w realizacji Aleksandra Forda i Jerzego Zarzyckiego, kamery St. Sipińskiego. Śmiało rzec można — twierdzą fachowcy po obejrzeniu całości, film „Ludzie Wisły" jest bezsprzecznym świadectwem dojrzałości polskiej kinematografii dźwiękowej. Wszystkie konieczne w współczesnym dramacie filmowym — elementy są tu misternie sprecyzowane, a co najważniejsze — idealnie sharmonizowane. Czy to będzie logika budowy scenarjusza Boguszewskiej i Kornackiego, czy też gra asów naszego świata filmowego, jak **Inny Benity**, tragiczki Stanisławy **Wysockiej**, Aleksandra **Zelwerowicza**, Jura **Pichelskiego**, Kazimierza **Jenowala** oraz wielu innych gwiazd — wszystko to należy już do wysoce artystycznego poziomu A cóż dopiero mówić o piosenkach (B. Witta) i muzyce (Romana Palestra i M. Neutajcha) zawierającej nowe swoiste i nawskroś oryginalne motywy?...

Nie będziemy dalej rozwodzić się nad poszczególnemi cechami filmu „Ludzie Wisły". Już kilka dni zaledwie dzieli nas od szeregu premjer w czołowych kinoteatrach Polski, już sama publiczność orzeknie swoim najlepszym wyrazem uznania, brawo!...



Ina Benita art. teatru Malickiej i Jur Pichelski art. teatru Polskiego w scenie z filmu „Ludzie Wisły" rez. Aleksandra Forda.
fot. „Europafilm"

DLA CIEBIE PANI



WIOSENNE MODY.

W Paryżu zaczęto już lansować w pierwszym rzędzie kostiumy angielskie. Suknie będą w tym roku znacznie krótsze (patrz fotos!). Kostiumy w kolorze brązowym, granatowym i czarnym. Noszone będą również płaszcze. Redingoty granatowe i popielate. Tweed z pośród tkanin zajmuje pierwsze miejsce. Nastąpił powrót do normalnej linii ramion. Dotychczasowe bufiaste rękawy oszpecały panie o figurze niezbyt smukłej. Modny stał się kolor granatowy z zielonym przybraniem, co jest oryginalną nowością.

SZTUCZNE SŁOŃCE

We Francji, w Niemczech, w Szwajcarii, a zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych Ameryki wszystkie zakłady kosmetyczne, lecznice i schroniska dla dzieci zaopatrzone są w „sztuczne słońce" czyli lampy kwarcowe, wydające chemiczne promienie ultra-fioletowe i infra-czerwone.

Wobec gorączkowego współczesnego życia, przebywania przeważnie w ciasnocie, zaduchu (biura, urzędy, a nawet kina i teatry), organizm nasz pozbawiony jest zbawczych promieni słońca. Zastępuje je wyżej wspomniana „kwarcówka".

Kwarcówkę taką każdy może mieć u siebie w domu i stosować kąpiele słoneczne, opalające skórę lepiej jeszcze niż słońce na plaży, czy w górach. Sztuczne słońce wpływa na tuszę, powodując cyrkulację krwi. Sztuczne słońce wydzielając promienie ultra-fioletowe zwiększa apetyt, uspakaja nerwy, reguluje sen i poprawia cerę. Infro-czerwone zwalczają opuchliznę, nabrzmienia, fluksje.

Zakładając u siebie w domu kwarcówkę trzeba przedtem zasięgnąć rady lekarza, który ustali odległość ustawienia lampy, czas opalania i okulary. Bez porady lekarskiej narazić się łatwo na utratę zdrowia. Gruźlicy i chorzy piersiowo stanowczo nie mogą stosować kwarcówki.

* *

...patrząc w kinie na ekran, każda z pań myśli: jak one to robią, żeby mieć tak doskonałą linię? No przede wszystkim, żeby tak absolutnie nic posiadać — brzucha? (Bardzo mi przykro, ale to się właśnie tak nazywa). Nadmiar tej części ciała u Polek jest rażący. Nie mają go w takim stopniu nie tylko Amerykanki (najracjonalniej wychowane fizycznie) — ale także ani Angielki, ani Francuzki. Równie ciężkie figury posiadają tylko Włoszki (w starszym wieku) opasione nadmiernie makaronem — oraz Niemki (również w starszym wieku) — opite nadmiernie piwem.

Jakie są przestępstwa Polek w tej materii?

Zbyt obfite jedzenie. Jedzenie za tłuste! Nadmiar dań mącznych, kluchów, kasz, ciast, kartofli — a niedostateczna ilość jarzyn i owoców. Wreszcie nienawiść do ruchu! Tak jest — nienawiść. Polki, uprawiające codziennie kwadrans rannej gimnastyki — tej właśnie, która wprawia w ruch każdy muskuł i zapewnia do późnej starości piękną linię — takie Polki, można chyba policzyć na palcach u jednej ręki. Nie trzeba też podkreślać, że uchodzą one wśród znajomych za nieszkodliwe maniaczki.

Każdej pani, żalącej się na otyłość, dałabym na początek bardzo ostre kazanie „dietetyczne", a potem kazałabym sobie kupić „Mój system" K. Muellera I niech się z tym zmaga. Ale wiem zgóry, że się zmagać nie zechce, będzie nadal gnuśniała w bezruchu, a konstatując że jej zeszłoroczne suknie się nie dopinają, jęknie jakby ją kto skrzywdził! Sama droga pani się krzywdzi — niehigienicznym trybem życia. I ja nic na to nie poradzę...

Warto spróbować ćwiczenia, które dają możność zredukowania obiętości owego nieszczęsnego brzucha!

Należy położyć się na podłodze na plecach. Podnieść obie nogi, pod kątem prostym do pleców. Nie kurczyć mięśni ciała, raczej je rozluźnić. Oddychać bez wysiłku. Wciągnąć jak najsilniej oddechem mięśnie brzucha i pozostać tak kilka sekund. Zrobić wydech i mięśnie rozluźnić.

Ten ruch wzmacnia znakomicie mięśnie brzucha i stapia pokłady tłuszczu pod niemi nagromadzone. Powtarzać tę gimnastykę co rano przed śniadaniem i co wieczór, przed położeniem się spać. Z początku robić ten ruch 10 razy. Stopniowo, po nabyciu wprawy i wzmocnieniu mięśni — dojść do 60 razy.

Nie spodziewać się, że po pięciu razach rezultat już będzie widoczny, ani że po dziesięciu razach będzie... wiecznotrwały!...

Stosować to ćwiczenie stale.

Filmy na które czekamy...

× **„Zaginiony Horyzont". Reż. Frank Capra. Scenariusz Robert Riskin. W roli głównej Ronald Colman.**

Zapowiadany przez półtora roku „Zaginiony Horyzont", którego produkcja pochłonęła przeszło dwa miliony dolarów okazał się bezsprzecznie największym filmem wszystkich czasów. Było to zresztą do przewidzenia jeśli się zważy, że twórcami jego są Frank Capra i Robert Riskin, reżyser i scenarzysta „Ich nocy" i „Pana z milionami".

Akcja filmu toczy się w specjalnie wybudowanych z niebywałym przepychem dwuch miastach wschodnich. Udział w „Zaginionym Horyzoncie" bierze 1.150 aktorów i statystów oraz kilkunastotysięczne tłumy, którymi Capra kieruje z niebywałą maestrią.

Ronald Colman jest wielkiej klasy aktorem i wspaniale wywiązuje się z roli bohatera filmu.

Jeden z producentów amerykańskich po obejrzeniu „Zaginionego Horyzontu" na prywatnym pokazie oświadczył:

— Dla tego jednego filmu warto było pracować przez 45 lat nad rozwojem kinematografii.

Obydwa te filmy wyprodukowała wytwórnia „Columbia", która w tym sezonie dała nam „Pana z milionami".

× **„Teodora robi karierę". Ostatni film reż. Ryszarda Bolesławskiego. W roli głównej Irena Dunne.**

Prasa amerykańska, francuska i angielska z wielkim entuzjazmem piszą o tym filmie, ktorego ukazanie się na ekranach światowych stało się rewelacją, większą niż był przed kilkoma miesiącami „Pan z milionami". Wytworny humor i dowcip sytuacyj i dialogów wypełnia ten film od pierwszej do ostatniej sceny. Irena Dunne świetna artystka dramatyczna, ukazuje się po raz pierwszy w roli komediowej. Talent tej wielkiej aktorki jest przedmiotem podziwu najbardziej wymagającej krytyki.

Sonia Henie — wielka atrakcja Hollywoodu

Dzienniki wszystkich krajów od szeregu tygodni donosza ciągle o wielkich sukcesach norweskiej łyżwiarki, jedenastokrotnej mistrzyni świata, Sonii Henie, która zadebiutowała w filmie.

Wytwórnia „20th Century-Fox", która zrealizowała pierwszy film mistrzyni świata zbiera obecnie zewsząd zasłużone pochwały za ten swój nowy „wynalazek" filmowy Obraz nazywa się „One in a million" i Sonia Henie gra w nim samą siebie. Szereg zabawnych perypetii, moc sensacyjnych momentów stanowi tło obrazu. Scenarzysta posłużył się, celem wywołania jak najkomiczniejszych efektów, wspaniałą trójką parodystów braćmi Ritz, którzy wnoszą do tego obrazu potężną dozę niefrasobliwego humoru, dzięki swym arcy-oryginalnym pomysłom. Bracia Ritz zdobyli nagrodę Ameryki na rok 1937 za wirtuozostwo w wywoływaniu śmiechu. Miejmy nadzieję, iż publiczność polska nie pozostanie w tyle za Stanami Zjednoczonymi i nagrodzi tę trójkę rzęsistemi oklaskami.

Premiera filmu **„One in a million"** w największym kinoteatrze świata **„Roxy"** była rekordem kasowym od czasu istnienia tego kina. Parę dni temu minął czwarty tydzień wyświetlania tego filmu przy nienotowanych obrotach kasowych. Sonia Henie figuruje dziś na pierwszych stronach wszystkich pism. Mała Norweżka w ciągu jednego dnia zdobyła świat. Wielka kariera filmowa stoi przed nią otworem.

Film ten sprowadziła już warszawska centrala wytwórni „20th Century-Fox".



Tak wygląda Sonia Henie gwiazda „FOXA" w swoim pierwszym filmie p. t. „ONE IN A MILLION"

To się nazywa pośpiech!

Ateliers filmowe i kina w krajach anglosaskich przygotowują wszystko, aby bez zwłoki i opóźnień ukazać publiczności zdjęcia z przebiegu uroczystości koronacyjnych w Londynie. Zdjęcia będą dokonywane przez atelier angielskie British Movietone News. Natychmiast po ukończeniu zdjęć taśmy będą wysłane samolotami do Stanów Zjednoczonych. Pierwsze zdjęcie zabierze samolot sterowany przez Amy Mollison lub płk. Lindbergha. Pierwszym, który je ujrzy na ekranie, będzie prezydent Roosevelt.

KRONIKA

× Z Ameryki nadchodzą wieści o ukończeniu realizacji potężnego filmu ze znanym aktorem dramatycznym Victorem Mc. Laglenem. Film nazywa się **„Nancy is Missing"** (Nancy Steele zaginęła). Jest to głęboki dramat o podkładzie psychologicznym, będący koroną dotychczasowej twórczości Laglena. W roli przybranej córki Laglena, występuje hollywoodska piękność June Lang, rolę największego wroga p. Steele (Laglena), objął znany aktor z europejskiego filmu Fritza Langa „M. Morderca" Peter Lorre. Reżyseruje George Marshall.

× Pamiętamy wszyscy najciekawszy film z ostatnich paru sezonów p. t. „Ludzie w hotelu". Takimi ludźmi w hotelu pod względem tła i fabuły będą bohaterowie filmu „Cafe Metropole", wielkiego obrazu o dziejach reprezentacyjnej kawiarni. Grają w tym filmie wytwórni „20th Century-Fox" Jean Hersholt, Tyrone Power, Loretta Young, Gregory Ratoff, Bili Robinson.

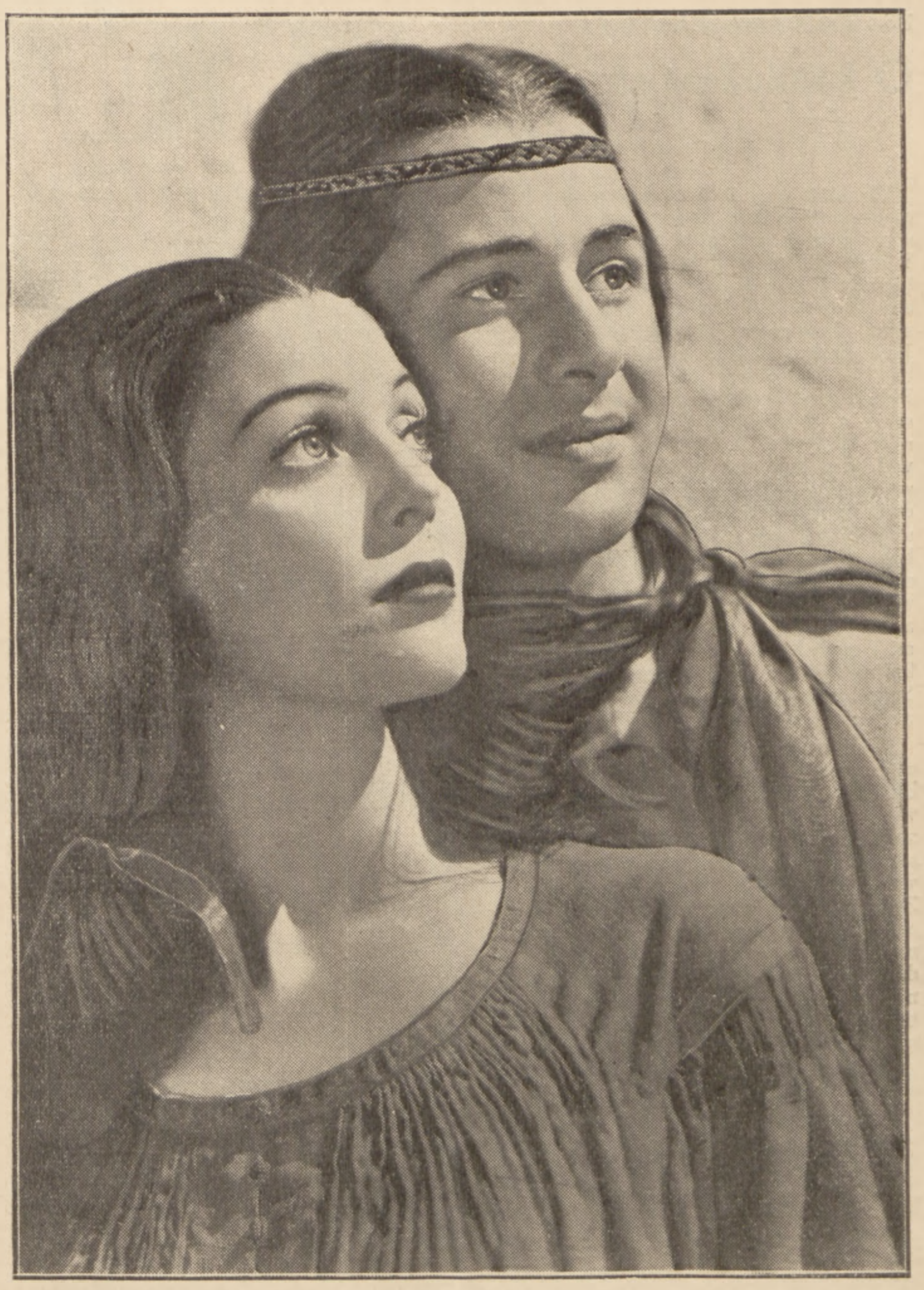
× Co się dzieje z. Wallacem Beery? pyta niejeden miłośnik kina. Spieszymy z odpowiedzią. Popularny ten aktor ukończył dla wytwórni „20th Century-Fox" wielki dramat morski w rodzaju „Bounty" p. t. **„Slavę, Srip"** (Okręt niewolników). Współudział w tym filmie biorą: Warner Baxter i córka znanego zmarłego aktora Will Rogersa. Reżyseruje Tay Garnett.

× Wszyscy znamy doskonale najsubtelniejszą artystkę europejskich ekranów — Annabelle. Świetna aktorka wystąpi wkrótce w wielkim filmie wykonanym całkowicie w kolorach naturalnych p. t. **„Skrzydła poranku"** (Wings of the morning) Obok niej zagra w tym obrazie wytwórni „20tho Century-Fox" Henry Fonda.

× Bezwątpienia najpopularniejszym amantem obecnym w filmie jest Robert Taylor, uroczy i podbijający bez apelu serca wszystkich kobiet aktor. Taylor wystąpi już za parę tygodni w potężnym filmie wytwórni „20th Century-Fox" p. t. **„This is my affaire"** (To jest moja sprawa). W filmie tym grają jeszcze: Victor Mc. Laglen i Barbara Stanwyck.

× Simone Simon, bohaterka „Matury", ukończyła swój drugi film dla wytwórni „20th Century-Fox" — **„Siódme niebo"** Film zapowiada się rewelacyjnie.

× Operetka „Hotel Imperial" grana w niemej wersji, obecnie została nagrana w wersji mówionej w Hollywoodzie.



Wspaniała para kochanków ekranu LORETTA YONG i DON AMACHE w cudownym filmie kolorowym p. t. „RAMONA".
Premiera tego filmu odbyła się w kinie „COLOSSEUM" w Warszawie i była świętem dla miłośników filmu.
Film potężnej wytwórni „20-th CENTURY FOX"

„RAMONA" — WIELKI TRIUMF LORETTY YOUNG

Film w kolorach naturalnych zawojował w krótkim czasie wszystkie ekrany.

W żadnym wypadku produkcja filmów kolorowych nie doszła jeszcze do takiej perfekcji i do tak ogromnej naturalności w oddawaniu prawdziwych barw na ekranie, jak w **„Ramonie"**. Kolory **„Ramony"** to nie chemiczna mieszanka farb przeniesiona na taśmę celuloidową, ale najnowocześniejsze i najdoskonalsze zdobycze techniki filmu barwnego, które wytwórnia „20th Century-Fox" zastosowała w tym arcydziele. Czac nakręcania **„Ramony"** trwał z górą 2 lata.

W ateliers „20th Century-Fox" wykończono z wielkim pietyzmem to istne cacko kolorowe, najczarowniejsze pieścidełko, które zachwyca oczy milionów. Rezultat przeszedł wszelkie oczekiwania. **„Ramona"** to pierwszy ewenement kolorowy, który ujrzał światło dzienne. Jeśli dodamy do tego wielką kreację atystki tej miary co Loretta Young, świetną reżyserię Henry Kinga, to możemy z góry być pewni, iż film **„Ramona"**, stanowić będzie nie byle jaką rewelację filmową w każdej dziedzinie.

„Pierwsza miłość Thei Bianchi"

Romans filmowy Leopolda Brodzińskiego

Czerwone litery głosiły pierwszy film dźwiękowy sławnej z urody i głosu primadonny Opery Paryskiej, Oper włoskich, Opery „Covent Garden" w Londynie (gościła tam Thea niejednokrotnie), Opery Wiedeńskiej (śpiewała tam z zespołem „Opera Comique") — Thei Bianchi.

Film, nakręcony przez konsorcjum angielskie pod auspicjami wielkiej amerykańskiej wytwórni, wyświetlono w Paryżu w popularnym bulwarowym kinie. Tryumf Thei Bianchi przeszedł wszelkie oczekiwania. Ekran uwydatniał idealną harmonijność rysów twarzy, głos brzmiał w aparaturze prześlicznie, stylowe stroje podkreśliły czarującą zwiewność sylwetki...

Pan de Maillard, z którym rozstała się Thea przed trzema laty, przysłał jej wspaniałe kwiaty... Bardzo to było miłe z jego strony.

Po premierze Thea raz jeszcze spojrzała na afisz pierwszego swego filmu. Czuła, że ten wieczór jest przełomem. Że coś nowego zacznie się po tym dniu, podobnym zresztą do wszystkich innych dni równego, dostatniego życia pięknej Thei Bianchi.

II.

CHŁOPIEC Z DETROIT.

Gdy Thea podpisała kontrakt do Hollywood, wszystkie ilustracje obu półkuli umieściły wspaniałe jej portrety. „Oto nowa gwiazda na firmamencie filmu!" widniał napis pod czarującą podobizną pięknej primadonny na pierwszej stronie wielkiego amerykańskiego miesięcznika „Photoplay". Kontrakt obowiązywał od dnia 1 czerwca.

Były to ostatnie dni kwietnia, moment szczytowy paryskiej wiosny, gdy ulice pachną benzyną i fiołkami, a nad miastem unosi się jakiś odurzający tuman w godzinach zmierzchu, piękniejszego w tym czasie, niż kiedykolwiek. W takiej to godzinie, gdy leciutka mgła osiada nad bulwarami, a przez siniejącą jej zasłonę przebijają miljardy neonowych świateł, wysiadła z swego auta Thea przed jedną z niezliczonych kawiarni. Była znudzona i zapragnęła posiedzieć bezczynnie i bezmyślnie na werandzie, patrząc na tłum. W tłumie tym napewno znalazłaby bez trudu dziesiątki tysięcy ładnych dziewcząt, które śnią po nocach o karierze takiej, jaką zrobiła Thea Bianchi, przeciętna panienka z przeciętnej przyzwoitej „inteligenckiej" rodziny w Warszawie.

Niejednokrotnie konstatowała Thea, że właśnie w tej sferze, w środowisku córek inżynierów, adwokatów, rejentów, prezesów, doktorów i t. p. najrzadziej „robi się karierę". Naturalnie karierę w najszerszym tego słowa znaczeniu.

— Wielkie gwiazdy rodzą się albo w suterynach, albo w pałacach — powiedział jeden z reżyserów amerykańskich i zapewne miał wiele racji.

O tym właśnie myślała Thea, sącząc przez słomkę jakiś nieszkodliwy „apperitif" z wysokiego, kryształowego naczynia. Opodal werandy stał tłum, usiłujący dostać się do kina „Paramount".

— Niedługo ten tłum będzie walczył o bilety, żeby mnie tam zobaczyć... — przemknęło przez mózg Thei, ale myśl ta, jak wszystkie myśli związane ze sprawami pracy i kariery, przeszła bez większego wrażenia. Thea zdecydowanie nie kochała swego zawodu, tak samo, jak nie kochała nikogo w dotychczasowym swym życiu 29-letniej „piękności".

— Wybaczy pani, że ośmielę się, choć nieznajomy — powiedział ktoś, zatrzymując się przy jej stoliku — ale widać sam los chce, żebyśmy pogadali...

Podniosła głowę. Obok stał jakiś bardzo wysoki, świetnie zbudowany mężczyzna w charakterystycznie amerykańskim ubiorze sportowym. Mógł mieć lat około trzydziestu. Jasna, pogodna twarz typowego blondyna i dziecinnie patrzące niebieskie oczy rozbroiły Theę. To nie mogła być bezczelna zaczepka. Więc?

Cudzoziemski akcent nieznajomego miał swój zabawny wdzięk.

— Będę pani partnerem w Hollywood. Nazywam się Tom Rean.

Uśmiechnęła się. Ach, prawda! To ten sławny bokser, który ma grać z nią w „Prawie pięści"...

— Proszę pana...

Tom usiadł i zaczął mówić. Mówił dużo, szczerze, trochę szukając francuskich słów, wypowiedzianych z jakąś szkolną starannością wymowy, mimo to zdecydowanie „anglo-saskiej", śmiesznie bełkotliwej w języku, wymagającym błyskotliwie giętkiej szybkości i melodyjnego pośpiechu.

Tom Rean był bokserem. Zdobył „mistrzostwo świata", tym samym więc sławę i majątek. Ale to wszystko nie zdemoralizowało go. Pozostał nadal poczciwym, wesołym, dobrodusznym chłopcem. Bo ten 27-letni mężczyzna (fachowcy mówili, że za późno, bo w 24-ym roku życia dopiero, wziął się do boksu) miał wciąż wyraz twarzy i sposób mówienia studenta. Był nim, coprawda już dawno, w czasach, gdy marzył o tym, by zostać... teologiem. Doktorem teologii. Szybko jednak życie przeszło do porządku dziennego nad tą mrzonką: trzeba było wziąć się do pracy, utrzymać matkę i siostrę. Więc Tom rzucił studia i pracował w sklepie kolonialno-gastronomicznym w Detroit, jako subiekt Aż do chwili, gdy boks — traktowany w początkach raczej rozrywkowo — wyniósł go tak wysoko. O tym wszystkim wiedziała Thea doskonale z szeregu wywiadów, artykułów i t. p. Nie zapamiętała tylko twarzy swego przyszłego partnera, choć pisma umieszczały liczne podobizny boksera, lansowanego teraz przez sfery filmowe Hollywood na nowego „gwiazdora".

Tom Rean zapytał wreszcie Theę, czy poznała już dokładnie scenariusz „Prawa pięści" Miał zastrzeżenia co do szeregu szczegółów filmu.

— Gram rolę boksera, więc wiem, gdzie i w czym tkwią kłamstwa...

— A ja gram rolę śpiewaczki, powinnam więc tak samo zaprotestować przeciw kilku konwencjonalnym banalnościom... Ale, kto wie, może oni właśnie mają rację? Może to my jesteśmy w błędzie, chcąc sprowadzić wszystko i wszystkich do siebie samych?

Tom spojrzał na nią z zachwytem.

— Jaka pani piękna! — powiedział nieoczekiwanie.

Roześmiała się. Rozbrajająco szczerze zabrzmiał ten wyraz zachwytu.

— Wiem o tem, — rzekła, — ale wiem też, że to rzecz bez wartości.

— Co też pani mówi! — starał się zaprotestować.

— Karierę zawdzięczam głosowi, nie urodzie. A życie osobiste miałam i mam mniej bogate i ciekawe, niż pierwsza z brzegu kobieta zupełnie brzydka.

Thea pierwszy raz w życiu powiedziała rzecz, tkwiącą dotąd tylko na dnie jej świadomości. Dopiero teraz, gdy usłyszała własne słowa, zastanowiła się dokładnie nad ich treścią. Tak, powiedziała prawdę. Ostatecznie mogła dojść do wniosku, że nie miała powodzenia. Mężczyźni onieśmieleni jej urodą i wyniosłym chłodem, nie atakowali Thei i czasem tylko ktoś z partnerów, lub przypadkowo poznanych panów ze sfer najwyższych (w takich tylko sferach obracała się Thea) przysłał do domu kwiaty, dość nieśmiały wyraz zachwytu. Kwiaty, otrzymywane przez Theę Bianchi na scenie, pochodziły przeważnie od dyrektorów menegerów, organizacji filantropijnych, na rzecz których tak często śpiewała, od znajomych pań, czasem koleżanek, ceniących lojalność gwiazdy, mało interesującej się aspiracjami innych śpiewaczek...

Tom znowu powtórzył:

— Jaka pani piękna!

W tej samej chwili zobaczyła Thea jakąś znaną twarz i usłyszała afektowane „Dobry wieczór!". To Larinette, reporterka z „Cine-soir" wytropiła — prawdopodobnie mimo woli, przypadkowo — sensację nielada: para bohaterów filmu reklamowanego już przez wszystkie pisma obu półkuli, siedzi sobie razem na tarasie jednej z najpopularniejszych kawiarni Paryża na bulwarze włoskim, zachowując idealne „incognito". M-elle Larinette uścisnęła po męsku rękę Thei i przedstawiła się Tomowi.

— Mały wywiadzik, moi drodzy... Ale śliczna z was para... Bo i pan, Mr. Rean przyzwoicie się prezentuje, choć zresztą ja na mężczyzn nie zwracam uwagi...

Larinette miała manię reklamowania swoich lesbijskich upodobań już w sekundę po zawarciu nowej znajomości. A że liczono się z nią bardzo w sferach artystycznych, nic więc dziwnego, że Thea i Tom ulegli despotycznemu nakazowi dziennikarki i pojechali (autem Thei) do redakcji „Cine-Soir", gdzie dokonano wspólnego ich zdięcia.

— Odwiezięcie mnie do domu po tej operacji — tubalnym altem postanowiła „Colette dla ubogich" (tak przezwali reporterkę złośliwi koledzy) — a potem róbcie, co chcecie. Nie jestem jeszcze zazdrosna o Theę, choć korzę się przed jej pięknością...

Auto zatrzymało się przed hotelikiem przy zbiegu ulicy St. Germain z jedną z jej licznych przecznic. Larinette wysiadła.

— Dobra z was para! — zawołała na odchodnym.

Thea i Tom spojrzeli na siebie z zażenowaniem, bez uśmiechu.

— Dokąd pana odwieźć? — spytała wreszcie Thea, chętnie przerywając kłopotliwe milczenie.

— Mieszkam w hotelu Crillon, na Placu Zgody — odpowiedział Tom i roześmiał się nagle, pozornie bez sensu, ale istotny sens tego nieoczekiwanego wybuchu wesołości zaraz stał się zrozumiały. — Obok zajmuje apartament następca tronu włoskiego... Czy to nie paradne? Niedawno mieszkałem w Detroit, jak nędarz...

Szczerość boksera rozbroiła Theę zupełnie. W tym chłopcu nie było za grosz kabotyna.

Auto stanęło na Placu Zgody.

— Nie, nie wysiądę tutaj — zdecydował Tom — odwiozę panią, a potem wezmę taksówkę i wrócę do hotelu...

— Dlaczego?

— Chcę być jeszcze parę chwil z panią...

— O...

— A tak...

Po pauzie, podczas której Thea miała wrażenie, że ulice Paryża są dziś jeszcze jaśniej, niż zwykle, oświetlone — Tom dorzucił:

— Muszę się przecież przed filmem przyzwyczaić do pani piękności...

(D. c. n.).

KSAWERY JANICKI.

O kapitolińskich gęsiach

W ostatnich latach przedwojennych na pierwszej polskiej scenie (dziś Narodowy, dawniej Rozmaitości), grywała 2 lub 3 razy do roku jakąś wielką heroinę (Jewdocha, Roza Weneda, Barbara Radziwiłłówna, Dwina w „Zawiszy Czarnym" Tetmajera i t. d.), pani Zenobia Janczewska. Bardzo miła i zabawna osoba bez odrobiny talentu aktorskiego. Publiczność gwizdała, prasa rozdzierała szaty z oburzenia. Oficjalnie w teatrze nikt sławetnej p. Zenobii nie protegował, dla tego też te dziwaczne popisy wydawały się czymś niesamowitym. Kiedyś naprzykład p. Zenobia grała za uwielbianą wówczas Szyllinżankę Barbarę Radziwiłłównę w „Złotych więzach" Rydla. Jej jęki i stęki wywoływały huragany śmiechu wśród widzów, a Osterwa na scenie odwrócił się plecami i ryczał... ze śmiechu. Jakiś prostolinijny widz z galerii chcąc przyśpieszyć śmierć nieprawdopodobnej Barbary zawołał: „A skonaj że nareszcie!"

Dopiero po tym po wyjściu moskali z Warszawy okazało się, że p. Zenobia była nieślubnym dzieckiem ministra oświaty. W tym właśnie czasie rząd rosyjski nosił się z zamiarem likwidacji scen polskich w Warszawie i zorganizowania oficjalnych teatrów rosyjskich. P. Zenobia wychowana przez matkę w duchu polskim, patriotycznym nie znała nawet języka rosyjskiego, to też dla zadowolenia jej aspiracji artystycznych minister oświaty pozostawił kwestię teatrów w Warszawie w „status quo". Tak więc poczciwa p. Zenobia okazała się gęsią kapitolińską ocalając Rzym naszej sztuki.

Nie każda jednak gęś jest gęsią kapitolińska, nie każda jakiś Rzym ratuje. Wprawdzie w legendzie o „Panu Twardowskim", zagadnienie Rzymu skurczyło się do Rzymem nazwanej karczmy przydrożnej. Ale karczma cudzych ambicyjek nie jest Rzymem dla subwencjonowanych teatrów T. K. K. T.

P. p. kierownicy T. K. K. T. na szczęście, nie decydują o losie sztuki polskiej, i dlatego, tem bardziej, powierzanie ról głównych bohaterek swym protegowanym, z krzywdą dla całości widowisk nie da się niczym usprawiedliwić.

Teatry prywatne nie subwencjonowane mogą sobie pozwalać na takie wybryki, jak lansowanie aktorek bez talentu na gwiazdy. Zginą wtedy od własnej broni zabije je abstynencja publiczności. Ale teatry, opierjące swój byt na wielkich subwencjach, na groszu publicznym, a za główny swój cel mające krzewienie kultury teatralnej, nie mają prawa eksperymentować w ten sposób. A jeżeli panowie, stojący na ich czele, nie mogą wystawiać sztuk bez udziału swych pupilek, to niech pójdą śladem sławnej polskiej milionerki Ganny (!) Walskiej, która za własne pieniądze grała kiedy chciała i co chciała, nikt się tym nie gorszył i nie dziwił, przeciwnie cały Paryż bawił się tym doskonale.

I wszyscy będą zadowoleni.

TEATR

„FIESCO" NA SCENIE TEATRU NARODOWEGO.

Sprawozdawca nasz nie napisał recenzji z schillerowskiego „Fiesco" w teatrze Narodowym. Czując jakąś animozję do stylu reżyserskiego p. Schillera i do maniery gry i mówienia p. Kuncewiczówny miał wrażenie, że ulega tej animozji i nie może zdobyć się na dość objektywny sąd. Zamiast oceny załącza fragmenty recenzji paru krytyków stołecznych.

A. Grzymała-Siedlecki w „Kurierze Warszawskim" pisze:

„Bywają w literaturze pisarze, którzy są świetnymi stylistami, ale na bakier są z ortografią. Takim np. był Stanisław Koźmian: „prosze mi pszysłać moją pęsie", (co znaczyć miało: „pensję") — pisywał do redakcji, w której pracował. Porównanie ze Stanisławem Koźmianem nie ubliży p. Leonowi Schillerowi. Jako reżyser potrafi on może być świetnym stylistą, swobodnie się czuje w strefie twórczych koncepcyj, ale nie zna podstaw rzemiosła reżyserskiego, zwyczajnej gramatyki, scenicznej. Stąd wynikają błędy jego w sprzężaniu dialogów, stąd powstają niedokończenia w budowie ról, gdzie reżyserowi przypada w udziale informować wykonawcę, zwłaszcza początkującego aktora, jak trzeba wydobyć dany akcent, wyraz, efekt. Takich uchybień było sporo w „Fiesku". Dlatego też tu i ówdzie głucho brzmiały miejsca, stworzone do wywołania silnego wrażenia."

W „Kurierze Porannym" Tadeusz Boy-Zeleński pisze:

„Wykonanie było raczej senne. Nikt nie wierzył w swoją kreację. Węgrzyn nudził się w roli Fieska, mimo, iż starannie pokrywał to znudzenie; ze wszystkich masek jego bohatera ta musiała mu być najcięższa. Zresztą grał szlachetnie; i on przecie chodził do szkół w Krakowie i pamiętał, że „der Kern ist edel". Renesansowa p. Pancewiczowa robiła wrażenie drzemiącej pantery; kiedy przyszło ryknąć, ziewała. Nie bierzmy jej tego za złe. P. Kuncewiczówna nie podołała i nie mogła podołać roli Leonory; stałe forsowanie jej w fałszywym kierunku jest ze szkodą dla teatru, a z krzywdą dla artystki."

J. Migowa w „Dobrym Wieczorze" pisze:

„Niezmiernie trudnej i odpowiedzialnej roli Leonory, wymagającej połączenia słodyczy głosu i poetycznego wdzięku Marii Malickiej z siłą dramatyczną Stanisławy Wysockiej — nie podołała Ewa Kuncewicz. Inne epizody, których w tej sztuce jest kilkanaście powierzone aktorom przeważnie o złej dykcji, fatalnie prezentującym się w kostiumach i nie wyczuwającym stylu, ani sztuki, ani postaci — robiły wrażenie klasycznych chórzystów operowych. Od pierwszej naszej sceny możemy przecież wymagać, aby nawet drobne role — zgodnie z tradycją Teatru Narodowego — grane były przez aktorów o pewnej klasie artystycznej. Wypożyczanie aktorów od Lourse'a, czy z teatru żołnierskiego nie daje dobrych wyników"



SUKCES „TAŃCA SZCZĘŚCIA" W TEATRZE „8.15"

Operetka „8.15" daje z zawrotnym powodzeniem operetkę Stolza „Taniec szczęścia" artystycznie wyreż. przez W. Zdzitowieckiego. W operetce tej niezapomniana Rose Marie Lucyna Szczepańska czaruje słowiczym głosem

z CAŁEGO ŚWIATA

× Najświetniejszy film naszej sławnej rodaczki Poli Negri „Szanghaj Moskwa" zdobył zawrotny sukces zagranicą. U nas wyświetlany będzie w kinie Filharmonia.

× W marcu b. r. rozpocznie zdjęcia niemiecki „Tobis" do filmu z Janem Kiepurą i Martą Eggerth, reżys. Karola Antona. Tytuł nieustalony, poza tem również dla Tobisu J. Kiepura i M. Eggerth rozpoczną w maju zdjęcia do filmu, opartego na muzyce „Cyganerii", lecz zaaktualizowanego w treści.

× Warner Bros sfilmuje w Hollywoodzie film „Mazur" z Kay Francis, w roli głównej. Film ten znany u nas był z Polą Negri.

× 1 marca odbędzie się premiera „Halki" w teatrze państwowym w Gotha.

Jak więc widać opery Moniuszki zdobywają sobie coraz więcej scen zagranicznych.

× W Sofii odbędzie się wkrótce premiera „Dziadów" Mickiewicza w reżyserii Schillera i dekoracjach Pronaszki.

× W Rydze wystawiono z wielkim powodzeniem „Pana Damazego" Blizińskiego.

× W Tallinie odbyła się premiera moniuszkowskiej „Halki", którą reżyserował Freszel. Część choreograficzną przygotował Zajlich.

× Hans Jaray, autor komedii „Ostrożnie Brygido" otrzymał zamówienie z Hollywoodu na scenariusz „Dawny i nowy Wiedeń".

Aktorzy w literaturze
70-y poniedziałek w Tow. Literat. i Dziennikarzy

Poniedziałki literackie w „Ziemiańskiej Artystów" mają swoją stałą publiczność, zamawiającą z góry miejsca przy stolikach.

70-ty poniedziałek nosił tytuł „Aktorzy w literaturze".

Teatr i jego ludzie budzą zawsze zainteresowanie zwykłych zjadaczy chleba (tym razem ciastek i keksów) — nic więc dziwnego, że ciekawy temat wypełnił salę IPS'u do ostatniego miejsca.

Jan Adolf Hertz, w ogólnych zarysach przedstawiwszy udział aktorów w literaturze (Szekspir, Molier, Guitry...) omówił obszerniej dorobek autorski naszych aktorów. Wspomniał szerzej o Chęcińskim, Rapackim (ojcu), Kotarbińskim, Dobrzyńskim, Ruszkowskim, Galasiewiczu, Szutkiewiczu, Zapolskiej, Zygmuncie Nowakowskim i Mariuszu Maszyńskim. Ojcem tej pleiady aktorów-literatów nazwał Wojciecha Bogusławskiego. Na końcu omówił prace literackie Juliana Krzewińskiego i Wincentego Rapackiego (syna) w związku z świeżo wydanymi ich powieściami: „Precz z cywilizacją" i „Wielka miłość".

Odczytany przez autora urywek powieści „Precz z cywilizacją", w którym „robot-żołnierz" na wystawie skutkiem wypadku, masakruje publiczność — wywarła silne wrażenie na słuchaczach, co wyraziło się chwilą ciszy po skończeniu czytania, a potem wybuchem gorących oklasków.

Z kolei p. Józef Śliwowski bardzo dowcipnym przemówieniem zaintrygował słuchaczów akcją powieści Wincentego Rapackiego „Wielka miłość". Fragmentom jej przeczytanym przez autora towarzyszyły wybuchy śmiechu i oklasków.

Ten wielce udany wieczór dopełnił piękny śpiew p. Werpechowskiej, która wykonała pieśni Ludomira Różyckiego do słów Krzewińskiego i utwory Rapackiego z jego muzyką i tekstami.

Cz. Napiórkowski.

MIGAWKI TANECZNE

Z wrażeń taneczno-filmowych ub. tygodnia najważniejszym był niewątpliwie taniec wschodni, po mistrzowsku utrwalony w filmie „Ogród Allaha". Oddawna nie pamiętam tańca tak doskonale filmowo ujętego. Można go wręcz uznać za wzór filmowania tańca. Wspaniale skombinowano tu ujęcia fragmentaryczne i przejściowo-panoramowane. Fascynującym pomysłem był, zwłaszcza, taniec rąk, tak zdjęty, że chwilami tylko było widać same dłonie. Całość jest niewątpliwie jednym ze szczytowych osiągnięć sztuki filmowania tańca.

Z tym większą niecierpliwością będziemy oczekiwali interesującej próby sfilmowania tańca polskiego, dokonanej przez PAT. Pod kierownictwem produkcji dyr. Świdwińskiego, w reżyserii T. Ortyma, a przy udziale operatorów Jaszcza i Malczewskiego, uwieczniono świeżo na filmie dwa tańce Ziuty Buczyńskiej (Kujawiaka i Krakowiaka, w układzie Z. Mikołajczewskiej), oraz Janiny Leitzkówny (Paso Doble i Menuet). Asystując podczas zdjęć w charakterze zaproszonego gościa-obserwatora mogę narazie stwierdzić, że tancerki zrobiły swoje bez zarzutu. Zobaczymy, jak się spiszą filmowcy. W każdym razie dobrze, że nareszcie pierwszy krok uczyniono. Oby realizacja była równie dobra, jak chęci producentów. Sukces powinien zachęcić do częstszego filmowania tańca polskiego, w postaci krótkometrażówek. Publiczność z pewnością chętnie je powita. Materiału jest moc. Można też będzie po tym takie filmy wysyłać zagranicę, osiągając duży skutek propagandowy.

Narazie zaś propaganda tańca polskiego zrobiła dalszy krok naprzód. Do nowootwartego w Rzymie teatru „Acquario" zaangażowano jako baletmistrzynię polską tancerkę Werę Petrakiewicz, zobowiązując ją do utworzenia polskiego zespołu tanecznego, na co się zgodziła z radością. Zmobilizowała więc grono utalentowanych i pięknie się prezentujących tancerek, już wyruszyła z nimi do Rzymu i rozpoczęła występy, odnosząc zaraz na wstępie wielki sukces zarówno „Szopenianą", jak ognistym mazurem. Należy zaznaczyć, że solistką zespołu jest Irena Topolnicka, b. solistka teatru Wielkiego, ponadto zaś wchodzą do zespołu jej dwie koleżanki z teatru Wielkiego: Irmina Cieślakówna i Kamila Szymczykowska, dwie wychowanki szkoły F. Brattówny i J. Hryniewieckiej: Krysia Marynowska i Lena Dąbrowska, artystka teatru „8.15" — Halina Kowal-

można się będzie wkrótce przekonać w filmie krótkometrażowym p. t. „Sobota — Niedziela". Producenci, którzy wiczykówna, oraz Lili Krystówna, uczennica Ireny Prusickiej, niezwykle uzdolniona tancerka, recytatorka i bardzo fotogeniczna artystka filmowa, o czym dzieli ten film na specjalnym pokazie, już zaproponowali jej kilka ról, ale p. Krystówna przyjmie te propozycje dopiero po powrocie z Rzymu.



LILI KRYSTÓWNA
Ozdoba zespołu tanecznego
WERY PETRAKIEWICZ
który wyjechał do Włoch

Z prawdziwą przyjemnością zawarliśmy znajomość z nieznaną nam dotychczas tancerką hiszpańską Nati Morales. To bardzo rzetelna artystka, której taniec oparty jest na niemałej wiedzy i poważnym stosunku do sztuki. W swych siedmiu tańcach hiszpańskich, należących, zresztą, przeważnie do t. zw. grupy „flamenco" ujawniła duży zasób umiejętności, temperamentu, świetnej koordynacji gestyczno-mimicznej oraz grę kastaniet, świadczące o poważnym wyszkoleniu. Publiczność umiała to ocenić. Nati Morales bisowała niemal wszystkie swe tańce. Zawsze ja chętnie i nadal będziemy oglądali w Warszawie.

Henryk Liński.

Sasza Leontiew geniusz blagi i kabotynizmu

Pan S. Leontiew, o którego nieudolnym dyletanckim popisie w balecie Straussa pisaliśmy w poprzednim numerze tak reklamuje swój wieczór tańca w Krakowie na łamach „I. K. C.":

Sasza Leontiew i Halina Radlińska w Starym Teatrze. Słynny tancerz Sasza Leontiew, który oprócz wszystkich zalet tanecznych posiada duchową własność tworzenia z elementów ludowych i ludzkich obrazów tanecznych o niesłychanej wyrazistości, wystąpi przy współudziale Haliny Radlińskiej, baleriny Teatru Wielkiego w Warszawie, z wieczorem poematów tanecznych w poniedziałek 1 marca b. r. w Starym Teatrze. Wieczór genialnego tancerza obudzi w naszem mieście żywe zainteresowanie.

W tymże numerze „I. K. C." czytamy w recenzji o p-nu L.

Leontiew, plastyczny realizator i insecnizator baletu, zawiódł na całej linii przedewszystkim jako Józef. Trzeba niezwykłego talentu, aby pustkę muzyczną przyoblec w kształty artystycznie przekonywujące i wzruszające. Artysta musi mieć urok bezpośredniości i ciało efeba. Takim musiał być pierwszy Józef — siedemnastoletni Miassiu mógł być genialny Niżyński — dziś może Lifar.

Taneczna „rozmowa z Bogiem" bogobojnego młodzieniaszka na dworze putyfarowym wypadła pusto. Zapewne nie można odmówić dużej techniki tanecznej. Lecz arsenał środków wyrazowo-plastycznych był b. ubogi, (np. ciągłe poruszanie się po przekątnej sceny), a mimika twarzy i rąk sztuczna. W żadnym wypadku nie można mówić o muzyczności (w sensie plastycznym) tańca Leontiewa.

W zestawieniu z tą bezprzykładnie narcyzowatą reklamą, jak brutalnie, a niestety prawdziwie brzmią słowa poważnego znawcy choreografii w „Kurierze Porannym":

Z egzaltacji bowiem czerpać mogła zresztą pozory głębszego życia artystycznego. Z tegoż też ducha pochodzi przywiązanie Leontiewa do tego baletu, w którym odtwarzać miał rolę Józefa, osiągając imponujące statystycznie sukcesy,— aż 500 razy! Dziwne, że występy te nie pozostawiły żadnego echa w dziejach nowoczesnej sztuki tanecznej. Biegli w statystyce dodają, iż w ogóle „Legendy" nie wystawiano i połowę tyle razy, z czego zaledwie część przypadałaby na kreacje naszego tegorocznego baletmistrza.

Pieśń prostej duszy, prostaczko-pastucha starał się Leontiew wyśpiewać z przejęciem. Wczuwał się, podniecał, egzaltował i mimo to przed widzami rozwijał miast wymownej kreacji swą bezradność ruchową, dyletantyzm taneczny, minoderie zamiast szczerości i głębi uczuć. Pozował, krygował, szczerzył zęby w uśmiechu pseudo-ekstatycznym, podlatywał, robił różne podskoczki śmieszne i galopki bez żadnej techniki, tak jak potrafi to zrobić każdy człowiek obdarzony pewną przyrodzoną lekkością ruchu; o ile, rzecz prosta, zdecyduje się na tak wątpliwej wartości wyczyny.

HENRYK LIŃSKI

Filmy tygodnia



DANIELLE DARRIEUX oraz HENRY GARAT w pięknym salonowo sensacyjnym filmie p. t. „NICPOŃ", wyświetlanym z dużym powodzeniem w kinie „STYLOWY" w W-ie, Fot. „EKA-FILM".

„OGRÓD ALLAHA" (Kino „Pan")

Marlena Dietrich i Charles Boyer, ostatni film nieodżałowanego „Boli", cały kolorowy to chyba dosyć atrakcyj? I rzeczywiście film jest piękny dla oka. Trzeba przyznać, że technika kolorowa zrobiła ogromne postępy. Od „Becky Sharp" znów duży krok naprzód. Naturalność barw jest niekiedy wręcz znakomita. Malowniczość widoków zyskuje na tym wiele. Rzecz ciekawa — gdy nazajutrz ujrzałem bardzo przecież ciekawy niekolorowy film, już mi się wydał jakiś szary, bezbarwny... Rzeczywiście, gdy się przyzwyczaimy do filmów kolorowych, nie będziemy już chcieli oglądać czarnych, jak po dźwiękowych źle się już czujemy na niemym filmie.

„NICPOŃ" (Kino „Stylowy").

Film, po którym się ma lekką pretensję do scenarzysty, że tak sobie zakpił z widza, ale zarazem niesposób mu odmówić wielkiego sprytu i ogromnej zręczności, że zdołał nas tyle czasu trzymać w napięciu i dał taki nieoczekiwany, choć zbyt już nieprawdopodobny „happy-end". Ostatecznie wszakże to nie takie ważne. Grunt, że tu gra Danielle Darrieux, najnowsza rewelacja filmu francuskiego, niezapomniana bohaterka „Mayerlingu". To tak urocze stworzenie, że z prawdziwą przyjemnością ogląda się, ją zwłaszcza, że po zniknięciu Liliany Harvey i Franciszki Gaal tęsknimy za tym typem artystki. Miejscami mniej się dobrze prezentuje (z winy, zapewne, operatora), ale na ogół jest doprawdy rozkoszna. Sympatyczny Henri Garat jest jej swietnym partnerem.

„BUFFALO BILL" (Kino „Światowid")

Zdawało się, że to będzie zwykły film cowboyski i dlatego dziwiło nazwisko Cecila B. de Mille, jako reżysera. Ale ujrzenie filmu odrazu zmieniło pogląd. Ten wielki reżyser zdołał nawet tak błahy temat ująć w sobie jedynie właściwy sposób. Wystarczy choćby ostatnia scena, gdy cała widownia z zapartym oddechem wpatrzona jest w jeden punkt — rewolwer Billa. Tym Billem (ale nie „Buffalo-Billem") jest Gary Cooper, zawsze interesujący i bardzo sympatyczny jako aktor. Tym razem nie miał możności psychologizowania, ale czuł się zupełnie w swoim żywiole. Rola była do niego dopasowana „jak ulał". Jego partnerka Jean Arthur nie była może najodpowiedniejsza do roli „pechowej" Janki („Calamity-Jane"), ale jednak potrafiła zaakcentować jej rubaszność w sposób dostatecznie wyrazisty. Po za pewnymi dłużyznami w środku filmu, całość jest ciekawa i ma moc momentów, w których „lwi pazur" Cecile B. de Mille ujawnia się z całą jaskrawością.

„ZAKOCHANE KOBIETY" (kino „Imperial")

Jest to przeróbka sztuki Bus-Feketego „Z miłości — niedostatecznie", którą znamy z teatru Polskiego. Film o tyle wyjątkowy, że nagromadził aż cztery asy kobiece. Jest więc: Loretta Young, Constance Bennet, Janet Gaynor i dołączona nowa rewelacja — Simone Simon. Najlepsza z nich jest tym razem bodaj Loretta. Może nawet nietyle w scenach głęboko dramatycznych, ile w całej pierwszej części filmu, gdzie ma momenty wręcz zachwycające, świadczące o stałych postępach w aktorskim doskonaleniu się. Janet Gaynor, jak zawsze, potrafiła ująć swym nieodpartym czarem. Constance Bennet — poprawna i staranna Simone Simon może trochę za bardzo się pieści i przesadza w minoderii, ale swoim zupełnie oryginalnym i niezwykłym sposobem gry głęboko interesuje. Role męskie — nieźle obsadzone. Całość — bardzo kulturalna i prawdziwie interesująca. Jest to film dla smakoszów i znawców, który powinien wszakże podobać się również szerokiej publiczności

„PIĘTRO WYŻEJ" (kino „Rialto").

Jak na film krajowy — wcale niezły. Najbardziej interesujące są motywy muzyczne które w swych dziwacznych splotach dają niekiedy efekty o szczerym i oryginalnym komiźmie. Zasługa to przede wszystkim Warsa, ale, zapewne, również scenarzystów Szlechtera i Starskiego. Trzeci pan na „S", mianowicie, Steinwurzel, jako operator, mniej się tym razem popisał, bo zdjęcia nie zawsze są na wysokości. Aktorsko-film dobry. Bodo, jak to on, zawsze sobie daje radę, Grossówna też, jak zwykle— młodziutka, bardzo miło wypadła Żelska, udał się Sempoliński, a trójka komików Orwid, Skonieczny i Woliński— doskonała. Szczególnie Wolińskim należałoby się bliżej zainteresować. To pyszny aktor. Reżyseria Trystana — pomysłowa. Wartoby mu częściej powierzać pracę.

REDAKTOR przyjmuje interesantów codz. 17 — 19. Administracja czynna codziennie 10—14 i 16—18
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, Al. Jerozolimskie 43 (parter) tel. 810 81.
CENY OGŁOSZEŃ: Cała strona zł 400, 1/2 strony—zł 240, 1/4 strony zł. 140, 1/8 strony — zł. 80, ogłosz. dwukolor. 50% drożej
1 milim. szerokości jednej szpalty (5-cio szpaltowy) w tekście 40 gr., za tekstem 30 gr. Ogłoszenia drobne 15 gr. za wyraz. Prenumerata: rocznie zł. 7.20, 1/2 rocznie 3.60, kwart. 1.80
Prenumeratę przyjmują wszystkie oddziały P.K.O. Konto czekowe Nr. 11.840 i oddziały pocztowe Konto rozrachunkowe. Warszawa I. Nr. 226.
Wydawcy: JÓZEF KISELHOF i I. ROTSZTADT MIASTECKI. Druk. Wydawnicza, Warszawa, Kacza 15, tel. 603-46. Redaktor WŁODZIMIERZ ŁOHAZA